№ 11. Warszawa, dnia 3 (15) Marca 1894 r. Rok XXX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół.. kwartal. 5 marek.

O PRAWDZIWEM WYKSZTAŁCENIU

przez

Wł. M. Kozłowskiego.

Grecy starożytni, żyjąc w blizkiej zażyłości z naturą, za ideał wykształcenia uważali połączenie piękna z dobrem (*kalo katagia*) jako skończony, najdoskonalszy wyraz natury ludzkiej; Średnie Wieki przeniosły go poza granice ziemskiego życia. Dla nich wszystko światło szło z góry; co nie było religią, było podejrzanem. Tylko ludziom należącym do kleru przystępne było prawdziwe wykształcenie; inni byli „profanami.“

Odrodzenie umiejętności starożytnych i humanizm, zwracający się do „czystej treści człowieka,“ przywracają prawa życiu i piękna, a wielkie odkrycia naukowe-geograficzne i astronomiczne, mechaniczne i fizyczne otwierają człowiekowi bez porównania rozleglejszy, niż w starożytności, widoki na świat. Tak z antycznego pojęcia *piękna*, chrześcijańskiego — *dobra* i nowożytnego dążenia do *prawdy* w wiedzy i filozofii wytwarza się ów duch oświaty i który ogarnia stopniowo Europę, a którego wyrazem skończonym jest XVIII stulecie — „wiek oświaty.“ Wykształcenie teraz staje się równoznacznem z oświatą.

Koniec wieku XVIII-go jest epoką wyjątkowego znaczenia dla wykształcenia, nietylko dla tego, że jest tak blizką nam, ludziom dzisiejszym, nie tylko dla tego, że w niej znajdujemy zawiązki wszystkich prądów późniejszych: jest to epoka, w której myśl ludzka, wyzwolona zupełnie z krępujących ją powijaków, uczuła nagle skrzydła u ramion i wzniosła się do takiej wysokości, jakiej już później nigdy nie dosięgła Jest to czas, kiedy jakby w olbrzymiej kuźni wykuwają się skończone formy ideowe, a wyjątkowa ilość genialnych pisarzów, którzy wzajemnym oddziaływaniem na siebie uwielokrotniają twórczość swoję, przyczynia się do tej olbrzymiej pracy.

Kiedy we Francyi—kraju, w którym przeważa temperament czynu,—doprowadzają się do ostatnich wyników idee poczęte w Anglii i wyrabiają się pod ich wpływem ideały społeczeństwa nowożytnego; kiedy odbywa się tu jedyna może w dziejach próba wlania rzeczywistości w te kolosalne kształty ideału politycznego.—Niemcy, opóźnione pod względem rozwoju państwowego i społecznego, skupiają się w życiu umysłowem, w sztuce i filozofii. Wiek XVIII jest dla Niemiec epoką walk o prawdy estetyczne. Pod kierunkiem sztuki i jej filozofii, zrodzonej prawie w tym czasie, kształci się publiczność niemiecka, której rozpaczliwie nizki stopień ogłady odsłaniają nam uwagi rozrzucone w listach, przedmowach i książkach owoczesnych pisarzy. I Niemcy były tak szczęśliwe, że na czele tego ruchu stanęli dwaj goniusze, którzy nietylko potrafili wykształcić swój naród, ale wywarli potężny wpływ na całą Europę i przez pośrednictwo pani Staël zostali się jej mistrzami. Tymi geniuszami są Szyller i Göthe.

Obydwaj dążyli do tego, aby doprowadzić do najwyższej doskonałości istotę człowieka, do tego ideału „człowieczeństwa,“ tego wszechstronnego syna wieku, do którego zwraca wiersze swoje Schiller, w. *Dokünstler*.

O jakżeś piękny, z palmą w dłoni męzkiej,
Na schyłku wieku dziejów dumny syn,
W tej ducha mocy, w pogodzie zwycięzkiej,
Z powagą cichą pełniąc śmiały czyn;
Wolny przez rozum, a przez prawo silny,
Wzniosły w dobroci, w cnocie nieomylny,
Dojrzałe dziecię przeszłości!
Wzbogacom w skarby, które pierś twa kryła,
Przed tobą samym...

Dążność ta ujawnia się w całem ich życiu, w całym rozwoju umysłowym; życiorysy więc tych ludzi, a zwłaszcza Göthego, uważać możemy jako żywe wzory najpiękniej i najszerzej pojętego wykształcenia w najbardziej oświeconym wieku. Widzimy tu stopniowe wniesienie się do harmonii wewnętrznej, stopniowe wyświetlenie ducha [1]).

U nas wiek XVIII pozostawił, jak i w całej Europie, głębokie ślady; cały jednak ruch umysłowy na polu teoretycznem (z wyjątkiem literatury politycznej) jest tylko odbiciem wpływów obcej, przeważnie francuzkiej literatury; i to miało smutne dla życia umysłowego następstwa, że okoliczności nie pozwoliły zabrać głosu w owej symfonii oświaty, na którą złożyły się dzieła ducha wszystkich przodujących narodów Europy z taką powagą, z jaką wystąpił ruch Odrodzenia w XVI stuleciu. [2]).

Cechą wybitną oświaty w. XIX-go jest historyczność w traktowaniu zagadnień myśli, w przeciwstawieniu do czysto racyonalistycznego ich rozwiązywania w XVIII stuleciu. Umysł ludzki, wzbogacony płodami myśli starożytnej przez epokę Odrodzenia, zerwawszy z tradycyą i powstawszy przeciwko powagom wszelkiego rodzaju w epoce oświaty, uczuł całą moc swoją a przejęty wiarą w tę potęgę odważnie przystępował do wszel-

[1]) Doskonały życiorys Göthego przez Lewesa (oryg. ang.) jakkolwiek wyszedł po polsku tylko w dość niedołężnej przeróbce (p. t. *Żywot Göthego*) zawiera jednak jeszcze nie mało rzeczy pouczających.

[2]) Ruch umysłowy w Polsce XVIII stulecia przedstawiony jest w dziele Smoleńskiego *Przewrot umysłowy* etc. (na składzie u Gebethnera Wolffa).

kich zagadnień, usiłując je rozwiązać o własnych siłach. Odpowiedź na nie brzmiała zawsze kategorycznie i krańcowo. Wszystko, co nie licowało ze współczesnem usposobieniem umysłu, odrzucano jako niepotrzebne, błędne, szkodliwe. Gdy przyglądamy się staremu gmachowi, który zbudowany początkowo według jednego planu, następnie bywał rozszerzany, dobudowywany i poprawiany przez potomków założyciela, — gmachowi, który, nosi pieczęć rozmaitych stylów, potrzeb, upodobań i epok,—razi nas ta niejednostajność budowy, ta niecelowość pojedyńczych części. Przychodzi nam na myśl: jakby ten gmach pięknie i harmonijnie wyglądał, gdyby go architekt według pomysłu swego odrazu wydźwignął.

Tak-samo zapatrywała się filozofia XVIII stulecia na gmach społeczny, na cały dobytek cywilizacyjny Ludzkości, zapominając, że ta ludzkość nie mogła stać się od razu tem, czem była w XVIII w., ani też taką wiecznie nie pozostanie.

Jednakże taki pogląd ma swoje zalety. Daje on śmiałość traktowania bez uprzedzeń tych, rzeczy, które istnieją tylko dla-tego, że są przez zwyczaj uświęcone. Niejeden szkodliwy przesąd, niejedna zła instytucya upadły dzięki temu racyonalizmowi, a sama krańcowość w rozwiązywaniu zagadnień przyczynia się do większej wiary w poprawność rozwiązania, daje rękojmię wprowadzenia myśli w czyn. Człowiek popierający nową ideę zawsze wypowiada ją w sposób jednostronny lub krańcowy; wypływa to z natury ludzkiej i z natury rzeczy, a nie należy widzieć w tem złego: samo życie postara się o zatarcie ostrych krawędzi i często niedopoznania złagodzi lub nawet spaczy myśl twórcy. Racyonalizm jako metoda myślenia jest więc bardziej płodny w czyny, zarazem bardziej przewrotowy i bardziej bezwzględny. Trafnie ocenił Taine rolę jego w wielkim przewrocie końca przeszłego stulecia, mówiąc, że rewolucya francuska była wynikiem metody filozoficznej XVIII w. oraz stylu klassycznego. Dodać można, że ten styl dosadny i lakoniczny, bezwzględnie odcinający pojęcia a nie znoszący odcieni pośrednich. jest wyrazem racyonalizmu w myśleniu.

Wiek XIX jest twórcą historyi rozmaitych gałęzi myśli i czynu. Do końca osiemnastego stulecia historya nie wykluła się była prawie z kronikarstwa;—pierwszą niemal, szerzej pojętą, próbą ujęcia całości dziejów jest *Essai sur l'histoire générale et sur es moeurs et l'esprit des nations* Voltairea są tu i dzieje literatury ułożone z bibliografii i życiorysów. Historyą filozofii i wiedzy, sztuki i cywilizacyi stworzyło prawie wyłącznie nasze stulecie a niedziw, że pojmowanie i znajomość przeszłości położyły pieczęć swoję na całym wykształceniu dziewiętnastego stulecia.

Stanowisko historyczne przyczynia się do głębszego ujęcia zagadnień: wyświetla ono odcienie subtelniejsze myśli, a wykazując, że to, co jest dziś wstecznem, było niegdyś postępowem, a co dziś jest postępowem, stanie się kiedyś „przesądem światło ćmiącym“, naucza większej względności w ocenie przeszłości i teraźniejszości, naucza, że nie wszystko to złe i bezużyteczne, czego znaczenia dziś zrozumieć nie możemy. Historyczne pojmowanie teraźniejszości chroni od wielu zawodów i od donkiszotowej walki z wiatrakami.

Gdyby szło o wyznaczenie roli każdego z tych czynników w wykształceniu, powiedzielibyśmy, że racyonalizm najlepiej da się zastosować do pracy twórczej, dooceny ideałów przyszłości, metoda zaś historyczna—do zrozumienia i krytyki przeszłości i teraźniejszości.

Znajomość dzieł historycznych nie tylko oswoi czytelnika z historycznem traktowaniem rzeczy, ale zarazem da sporo materyału do rozwiązania zagadnień, wchodzących w zakres kształcenia się, a nie należy się obawiać, aby głębsza znajomość rzeczy przytłumić mogła twórczą siłę własnego umysłu. Takie zdanie, które mi się nieraz zdarzało słyszeć, jest błędem bardzo szkodliwym, bo służy za przytułek lenistwu. Nie-jeden młodzieniec, ufny w swój geniusz, odrzuci książki, krępujące w jego mniemaniu polot myśli, aby czekać aż przyjdzie natchnienie, które mu pozwoli wszystkie zagadnienia rozwiązać w sposób oryginalny. Ale właśnie natchnienie nie zwykło przychodzić do tych, którzy w ten sposób sami siebie pasują na geniuszów: wieńczy ono częściej skronie pracy, a ci co od pracy uciekają zgnuśnieją, nie tylko w sposób oryginalny, ale w żaden zgoła nie rozwiązawszy zagadnień życia. Łatwo znaleźć źródło tego dziwnego przesądu, jeśli przypomnimy sobie, jak wiele książek przeładowanych erudycyą grzeszy zupełnym brakiem myśli oryginalnej. Ale przyczynę bierze się tu za skutek. Jeśli autor przystępuje do dzieła bez żadnej myśli oryginalnej, to nic mu nie pozostaje jak starać się o zastąpienie tego braku erudycyą, która nie mogła zabić tego, czego nie było.

Jak rozmaitem było pojęcie wykształcenia w różnych okresach dziejowych, tak też nie jednakowo zapatrują się na nie rozmaite koła i warstwy społeczne, a przeciętny sąd ogółu z trudnością zadowolniłby człowieka głębiej myślącego.

„Nie obawiam się popełnić wielkiego błędu—pisze jeden z poważniejszych autorów, — gdy powiem, że w pojęciu ogółu wykształcenie polega na summie pewnych wiadomości bez względu na uzdolnienie ich posiadacza. Kto przeszedł nasze szkoły średnie lub wyższe nabywa już przez to w pojęciu ogółu prawo do tytułu „*człowieka wykształconego*.“ Powinien on módź przeczytać dziennik, nie potykając się bardzo na imionach geograficznych, umieć powtórzyć sąd przynajmniej jednego z czasopism o wypadkach chwili bieżącej, przyczem, naturalnie, nie wymaga się wcale głębszego pojmowania stosunków społecznych lub politycznych. Powinien mówić jako znawca o teatrze i coś wiedzieć o najnowszych płytkich powieściach chociażby ze sprawozdań w pismach. Jeśli przytem ma znajomość kilku obcych języków, dobre ułożenie, jeśli przywłaszczył sobie tyle z Overbecka i Lübkego, aby w ostrożnych ogólnikach wygłosić sąd o nowych obrazach, jeśli potrafi odróżnić symfonię Mozarta od Volkmanna i pochwycić główne motywy w operze Wagnera, to wdzięczne społeczeństwo wynagradza te zasługi dodatkiem do przydomku „wykształcony“ mile urozmaiconych stopniowań: „bardzo,“ „wysoce,“ „świetnie.“ A gdy obok tak znakomitych własności przyzwoicie spełnia obowiązki swego powołania nazywają go z zasłużoną czcią „wszechstronnie „wykształeonym człowiekiem“ [1]).

Sądzę, że większość czytelników jak, to uczyni autor przytoczonego ustępu, nie będą zadowoleni z takiego określenia wykształcenia. Lecz jak je pogłębić, jak nadać mu wyraźniejsze rysy?

Możliwe tu jest dwojakie stanowisko: jedno czysto teoretyczne, drugie bardziej praktyczne; jedno ma na myśli jednostkę kształcącą się w oderwaniu od ogółu a wykształcenie jako cel ostateczny, drugie w jednostce widzi członka społeczeństwa nierozerwalnie z niem związanego, a w jej wykształceniu—środek ku spełnieniu obowiązków człowieka względem tego ogółu, do którego należy, względem swego społeczeństwa, swego narodu. Zobaczymy zresztą, że oba stanowiska prowadzą ostatecznie do jednakowych wymagań.

Nie ulega wątpliwości, że jednym z najpiękniejszych rysów charakteru aryjskiego, jest owo bezinteressowne pragnienie poznania, wiedzy dla samej wiedzy, które uczyniło z Grecyi starożytnej kolebkę umiejętności, ognisko świateł opromieniających i nas jeszcze blaskiem swoim przedzierającym się przez mgłę tysiącoleci. „Najwyższym celem człowieka, któremu oddając się, zasługuje on na nazwę miłośnika mądrości (*filozofa*) jest kontemplacya piękności świata.“ To zdanie w czysto holleńskim duchu przypisują Pitagorasowi. Z tego pragnienia wiedzy i pojmowania płynie dążność do wykształcenia, a jest ona jednym z objawów owego popędu do wszechstronnej doskonałości, który stanowi najszczytniejszy rys natury ludzkiej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

[1]) Schönbach *Uber Lesen und Bildung* Str. 8—10.

POGAWĘDKA.

Nie był to żart prosty, ale doskonała znajomość życia, które podlega rozmaitym wahadłowym ruchom i tysiącom rządzącym niem wypadkom—gdy ś. p. Ziołkowski, ów dawny, niezapomniany autor „Momusaa“ na rzucone mu zapytanie: dokąd idzie?... Nie wiem! odpowiedział. Dostał się za to do kozy, o której, idąc, nie myślał wcale.

W większych lub mniejszych wypadkach, tak samo się z każdym z nas dzieje, tak samo było w ubiegłą niedzielę i ze mną, który, jakkolwiek wiedziałem, że szedłem na partyę szachów do czekającego na mnie przyjaciela, oparłem się jednak... nie w kozie, co prawda, ale tam, gdzie mi się być wcale nie marzyło, bo—w resursie obywatelskiej, na—koncercie przez towarzystwo niemieckie urządzonym.

O tym, mało ogół nasz obchodzącym wypadku, nie ogłaszały wcale afisze, wątpię też czy które z warszawskich pism codziennych wspomni o tej zabawie znajdującej się u nas kolonii niemieckiej, tembardziej, że bilety były imienne a przeto wstęp, dla chcących nawet korzystać z produkcyi muzyków i śpiewaków synów Giermanii, musiał być bardzo ograniczony. To też nie widzieliśmy reprezentantów naszej prasy, ze znajomych swoich między widzami nikogo nie spotkaliśmy, towarzystwo było tylko niemieckie, niemieckie śpiewy i niemiecka rozmowa brzmiała na okół.

Nie byłem jednak intruzem, wszedłem do sali z biletem w ręku, na którym czarno na lilowej barwie karteczce, stało wypisane imię i nazwisko waszego sługi.

Kto wie, czy nie prędzejbym się spodziewał dostać do kozy, niż na ten koncert niemców.

Ale losy były łaskawsze.

Z myślą zajętą *gambitem* i fantastycznemi skokami szachowego konika, szedłem do swojego przyjaciela a wielkiego tej gry amatora, gdy nagle drogę mi zaszedł jeden z głównych uczestników koncertu i wręczył z przyjacielskim uśmiechem pięknemi czcionkami drukowany bilet do krzeseł.

Odmówić nie mogłem — za serdecznie byłem proszony.

Że koncert miał się rozpocząć o godzinie ósmej wieczorem, a dość było czasu do oznaczonej chwili—pośpieszyłem do mojego przyjaciela, ze smutną dlań wiadomością, iż walną batalję na kratkowanem polu do szczęśliwszej chwili odłożyć musi.

— Partyjkę jedną, dwie zgramy jeszcze—mówił do mnie.

— Za mało czasu—odpowiedziałem — koncert o godzinie punkt ósmej.

— Tak na bilecie jest—tłomaczył mi mój przyjaciel—ale w rzeczywistości o jakie pół godziny przynajmniej opóźnią się z zaczęciem. Niech-no niewiasty zaczną się schodzić, to zobaczysz, że moglibyśmy jeszcze kilka znakomitych partyi zagrać i w czas byś do resursy przybył.

— O nie, mój złoty—to koncert Niemców.

— Cóż ztąd?

— Nie znany-ż ci jest ich porządek, systematyczność we wszystkiem! To nie nasza publiczność spóźniająca się na każde widowisko teatralne, na każdy występ, choćby najznakomitszego artysty. Przepatrz nasze dzienniki nawołujące nas do porządku, stawiające nam za wzór uprzejmość Francuzów, mądrość Anglików, punktualność Niemców?... Wieleż to razy odzywały się głosy zatem, by opóźniających się do teatru naprzykład, albo tłumnie powracających z *fiumaorów*, gdy już się sztuka zaczęła — nie wpuszczać wprost do chwili nowego antraktu? Nie byłoby tego hałasu, powstawań z krzeseł dla przepuszczenia niegłodnych, widocznie, wcale zabawy; nie straciłbyś jednego słowa aktora, nie przerwał wątku myśli. Wybacz zatem, mój drogi, że nie chcę, o niewłaściwej godzinie wchodząc na salę, posłyszeć za sobą szepty ludzi systematycznych:

— „Ein Pollen!...“

— Szept ten, w innym wypadku nie byłby mi wcale nie miły—ale w tym...

— Zatem nie ubłagany jesteś?

— Spytałem o której godzinie koncert się rozpocznie; *Acht Uhr*—najbardziej stanowczo mi powiedziano. O godzinie dziesiątej punkt — po wszystkiem już będzie.

— Ha! zatem spiesz—z ciężkiem westchnieniem odpowiedział mój przyjaciel.

Kto wie czy w onej chwili nie narzekał na ową systematyczność niemiecką.

Brakowało minut dziesięciu do ósmej, gdy wszedłem na salę.

Było zupełnie pusto...

— Minut dziesięć—pomyślałem sobie. — Znać naród pracowity i praktyczny. Jednej sekundy napróżno stracić nie chce. Ten mierzy czas z zegarkiem w ręku.

Ostatnie słowa zachwytu, wymówione dość głośno, powtórzyło ośm kątów sali resursy obywatelskiej.

Ósma...

Nie ma nikogo.

Mija kwadrans...

Pusto.

O, Niemcy!...

Około w pół do dziewiątej zaszeleściało koło drzwi wchodowych. Zaczęto pomalutku się schodzić, witać, uśmiechać i rozmawiać.

Powoli, bardzo powoli duża sala wypełniała się dziećmi systematycznego narodu, i gdy zegar pokazał dziesięć minut na dziesiątą — koncert się rozpoczął.

Jakkolwiek, wyznam najszczerzej, przez te półtorej godziny oczekiwania na widowisko, nie bawiłem się zbyt wesoło i często myśl do mojego przyjaciela posyłałem — przyszła mi jednak na myśl znana dobrze a stara sentencya o dyable, który nie jest tak straszny, jak go malują. Jeżeli wiele brzydkich wad mamy, z których poprawić się należy, to inni znowu nie są tak dalece lepsi od nas, ażeby nam ciskać w oczy, uprzejmością Francuzów, mądrością Anglików i systematycznością Niemców. Z mało wprawdzie mówiącego przykładu, ale przekonałem się, że... „i Niemcy są ludz.e.“ Nie idzie za tem, ażebyśmy się teraz powoływali na nich i nigdy w czas na koncert lub przedstawienie teatralne nie przyszli.

O, nie—tego nie pragnę wcale!

Szwędanie się podczas gry samej, trzaskanie krzesłami, usuwanie się i przesuwanie — jest wprost nieznośne. Ale znów nie tak bardzo i nie we wszystkiem złe dopatrujmy w sobie—to byłoby za wielkie niedołęztwo.

Koncert się rozpoczął i—zakończył się wprawdzie po północy—ale nie wiele do życzenia pozostawił. Głosy śpiewaków były bardzo dobre, szczególnie barytonowy śpiew p. Lichtweissa brzmiał pysznie a potęgą i czystością głosu prawdziwą rozkosz dla ucha sprawiał. Chór mieszany pod dyrekcyą p. Karola Danysza był doskonały, znać, że z ręki dobrego nauczyciela wyszedł, jakim bez zaprzeczenia jest, jakkolwiek mało znanych u nas, choć nie Niemiec—pan Danysz. Występ pani Wever, uczenicy tego ostatniego, potwierdził to w zupełności. Głos nie wielki, ale pełen srebrzystego dźwięku, spadki wyborne, pianisimo doprowadzone do doskonałości. To też huczne a zasłużone brawo, wynagrodziły mistrza i uczenicę. Panna André grała ładnie na fortepianie, pan Arendt z powodzeniem smyczkiem się popisywał.

Z zupełnem zadowoleniem opuściłem salę resursy, a jeżeli pod świeżem wrażeniem tylko co słyszanego koncertu zadługo się może rozpisałem o nim, to szanowni czytelnicy mi wybaczą, bo, co ładne, to, choć i nie swoje jest, pochwalić się godzi.

Ponieważ muzyka i śpiew są rodzonemi siostrzycami poezyi i malarstwa, nie zrobimy skoku jeżeli do tego ostatniego się zwrócimy.

W ostatniej pogadance swojej wspominałem o religijnych obrazach Andriollego, które na widok publiczny wywieszone już zostały w Salonie Artystycznym przy Nowym-Świecie. Nie widząc ich nie chciałem nic mówić o nich, choć jedno z pism codziennych podniosło przedwcześnie nie-co niezrównane zalety tych obrazów. Nie lubiąc powtarzać pacierza za panią matką, chciałem sam je zobaczyć, i osobistym wrażeniem, jakiejkolwiek by one były natury, podzielić się z wami.

Niestety! niezdołałem nie tylko się zachwycić, lecz nie dostrzegłem nawet jednego rysu tego wielkiego talentu, który zapewnił długotrwałość pamięci znakomitemu rysownikowi. Obrazy wielkich rozmiarów, malowane olejno, do których przedmiot wzięty jest z życia Chrystusa lub świętych, przekraczały siły świetnego illustratora. Mimo, nieposzlakowanego może rysunku postaci, dobrego kolorytu, brak tam tej siły twórczej, w której przejawia się się duch malarza przejętego dziełem swojem. Jak już powiedzieliśmy dawniej, że potrzeba głęboko czuć i wierzyć, ażeby doskonały obraz religijny stworzyć, a tego właśnie brak w omawianych dziełach Andriollego. Prawda, że obrazy te, niektóre ogromnych rozmiarów, przeznaczone do katedry kowieńskiej, malowane są na perspektywę, i bezwątpienia w stosownem zawieszeniu i odległości zyskają nie mało na swojej wartości i będą prawdziwą ozdobą świątyni. Postaci, więcej niż naturalnej wielkości, do właściwych zejdą wymiarów, ostre rzuty pędzla zleją się, i to, co obecnie razi (bo w małych salonach wystawy, musimy stać niemal przed samem płótnem), zniknie w stosownem oddaleniu, ukryte niejedno piękno na jaw wyjdzie—mimo tego, do bardzo nawet względnej doskonałości, obrazy te pretensyi rościć nie mogą. Jako rysownik, Andriolli zostanie niełatwo prześcigniony a nawet doścignionym, jako malarz religijny niejednemu miejsca ustąpić musi.

Mimo woli przyszedł mi na myśl Stachiewicz i jego cykl legend o Matce Boskiej.

Drobne to pod względem wymiarów obrazki, lecz jaka z nich bije siła natchnienia, moc uczucia, zrozumienie podjętego przez siebie przedmiotu.

Tu widzimy małe, lecz skończone arcydzieła — tam wielkich rozmiarów i dobre tylko—kościelne obrazy.

Spójrzmy naprzykład na postać Najświętszej Panny z Jezusem na ręku, odbierającym hołdy i dary królów. Twarz wymuszona, z odcieniem jakiejś dumy sztucznej, wzrokiem obojętnym patrząca gdzieś w dal, gdzie nic nie ma, gdzie się nic nie widzi. Nie masz tam najmniejszego wyrazu boskości, ni szczęścia, jakie powinneby napełnić serce matki, te hołdy oddawane synaczkowi. Obraz zupełnie jest zimny, oczy obojętnie nań patrzą, uczucie nic nie mówi. Albo Ś-ta Tekla stojąca wśród płomieni ognistych, przy spoczywającym u stóp jej lwie. Niema tam zachwytu, ekstazy, tej wiary, która każe zwierzęciu u nóg ledz męczennicy, a ogniowi roztąpić się w koło. Święty Kazimierz, to sobie zwyczajny święty kościelny, namalowany dlatego, by było co w ołtarzu zawiesić. Wszędzie przemaga purpura, ale cóż, kiedy oprócz tej barwy, nic prawie innego w oczy nas nie uderza.

Bardzo dobrym bez wątpienia jest połów ryb na morzu. Wzburzone fale unoszą łódź, którą niewód przepełniony popycha do połowy. Apostołowie są zajęci usilną pracą wydobycia na łódź sieci, która pod ciężarem cudownego połowu wypręża się i niemal tej łodzi zatonięciem grozi. Dużo tu życia, ruchu i wichru, że się tak wyrażę. Postać Zbawiciela tylko zachowuje pewien spokój, ona panuje nad falami i każe wkrótce morzu się uśmierzyć a łodzi szczęśliwie przybić do brzegu.

Obraz największych rozmiarów, bo zajmujący całą ścianę salonu, przedstawia Ś-go Ludwika na wzgórzu przed Jerozolimą, czyniącego ślub wydobycia świętego miasta z rąk pogan. Nie w królewskim jest stroju, nie w pielgrzymim nawet, ale w szacie z szafiru i sukni purpurowej. Słowem, ubrany tak, jak to nam zwykle Pana Jezusa przedstawiają.

Dla czego ten Chrystusowy strój miał król francuzki, dlaczego zresztą ma to być król francuzki? Nie wiedziałbym, gdyby mnie nie objaśniono.

Ogólne wrażenie, jakie wyniosłem po oględzinach tych obrazów jest takie: że znać pędzel mistrza, któremu Duch Święty namaszczenia swojego odmówił.

Może się mylę — nie przeczę; może się znajdzie krytyk, który inny zupełnie sąd wyda. Przecie i cykl legend o Matce Boskiej Stachiewicza, podniesiony do wyżyn prawie przez pisma zagraniczne, a niemieckie specyalnie, ten cykl legend, który był rozkoszą i moich oczu i mojego uczucia — w jednej z gazet naszych, spotkał się z przeostrym sądem i to wydanym — przez malarza. Prawda, że ów malarz takiego cyklu nie namalował i nie namaluje — ale papier jest powolny a pióro cierpliwe. Nie obawia się Andriolli sądu mojego, i Stachiewicz może być spokojny o sławę swoją; oby świątynie nasze miały więcej podobnych obrazów jakiemi ozdobioną zostanie katedra kowieńska — i oby więcej takich Stachiewiczów i takich legend nam przybyło.

Ale kto żądny wrażeń i chce się skąpać w bogactwie barw i świateł, i choć chwilę obcować z dalekim już a blizkiem zawsze duchem mistrza Jana—podwoje salonu artystycznego stoją otworem. Trzydzieści obrazów olejnych i trzydzieści szkiców ołówkiem rzuconych, zupełnie prawie nieznana nam tutaj puścizna pośmiertna Matejki — przyzywa nas i nęci. Zwiedzałem salon w chwili rozwieszania obrazów krakowskiego mistrza; mogłem wzrok na parę płócien zaledwie rzucić, paru szkicom, przedstawiające typy z zamierzchłej już doby przypatrzyć się — ale poczułem od razu lwi pazur. Nie wątpię, że tłumnie nawiedzicie ten skromny zawsze, dziś pełen przepychu salonik na Nowym-Świecie. Rzućcie tam okiem na jeden tylko obraz, przedstawiający dziewczynę trzymającą kanarka, a głosem żywym przemówi do was potężny duch Matejki. Poczujecie ciepło, które wieje od obnażonych ramion dziewczęcia, schwytany ptaszek trzepoce się w miękkim uścisku niewielkiej dłoni, zdaje się, że frunie lada chwila i zginie w otaczającej go zewsząd zieleni.

Zatrzymałem się przed tem obrazem, nie wiedząc kto jego jest twórcą. Przemówił prawdą, życiem, ciepłem od razu, aż się zwróciłem do przechodzącego w tej chwili p. Kazimierza Mireckiego z zapytaniem:

— A czyje to jest arcydzieło?

Pokazał mi u dołu znany monogram.

— Aaa!..

Uzasadniony był mój zachwyt.

Matejko!

To dość...

A śpieszcie bo na czas krótki, bardzo krótki, pozwolono salonowi korzystać z tych obrazów, a i nie często mieć możemy, taką iście lokullusową ucztę...

W Sali Ratuszowej rozpoczął się już szereg odczytów. Znany dobrze czytelniczkom *Bluszczu* poeta, którego wiersz każdy nacechowany jest jakąś myślą poważną, wygłosił pierwszy swój odczyt zatytułowany: „Kobiety-poetki“. Mówimy *pierwszy*, bo przedmiot jest za obszerny na jedną, na dwie nawet godziny, takich więc odczytów będzie cztery.

Nie będziemy go rozbierali ani przesądzali o wartości następnych. Autor, nietylko jako poeta, ale i jako prelegent dał się już poznać szerokiej warstwie publiczności, a choć podjął nie małe zadanie, nie lękamy się wcale: zna obraną przez siebie drogę i bez najmniejszego wypadku szczęśliwie do portu przypłynie. A pewnym być musi sił swoich, gdy to już poraz drugi do wielkiej a ciężkiej łodzi siada i puszcza się na oceany. Jak roku zeszłego przedstawił nam miłość w poezyi od Adama i Ewy począwszy a skończywszy na czasach ostatnich—tak teraz—mniejszy wprawdzie wziął zakres ale zawsze potężny, bo scharakteryzowanie kobiet-poetek w literaturze naszej, wyśledzenie ich dziejowego rozwoju, postępu w ciągu lat trzystu.

Bagatela!..

Wiedziano, że nie bagatela i dlatego audytoryum, jakkolwiek nie przepełnili, ale napełnili ludzi żądni wiedzy, a i ci, co ją mają poddostatkiem, ciekawi byli dowiedzieć się, jak to śmiały żeglarz w kilku prelegencyjnych godzinach przez niejedną Styllę i Charybdcę przepłynie.

Oprócz tych odczytów, których pewien szereg ma się odbyć w Sali Ratuszowej, z dniem 1-go

Kwietnia mają się odbyć odczyty, tak nazwane, *popularne*, urządzone staraniem komitetu damskiego przy Towarzystwie opieki nad zwierzętami. Na katedrze wystąpią: D-r Juljan Ochorowicz, który wypowie rzecz „O koniu ze stanowiska psychologii“, D-r Odo Bujwid: „O drobnych żyjątkach zdrowiu szkodliwych i sposobach ich unikania“. P. Edmund Jankowski: „Czem dla ludzi jest ogród?“ P. Aleksander Palmirski: „Życie i jego przejawy jako przedmiot nauki“. P. Władysław Umiński: „O zwierzętach ginących“. D-r Maksymiljan Flaum: „O wódce, piwie i winie“. D-r Seweryn Sterling: „Zasady hygieny zawodowej“ i p. Marcin Osmala: „Cechy i ich wpływy na rozwój rzemiosł.

Do projektów, które mają wejść na porządek dzienny w roku bieżącym, należy, pogrzebany dawno, a dziś znów zmartwychwstający projekt „Domków na raty“...

Myśl ta, bardzo dobra w zasadzie, powstała u nas mniej więcej półtora roku temu. Zawiązała się już nawet spółka udziałowa, której zadaniem było kupowanie placów pod budowę owych domków w cenie od 6 do 10 tysięcy rs. Miały to być wille otoczone ogródkami, które można byłoby kupować za pomocą wypłacania rat niskich, dopisywanych do komornego. W ten sposób w przeciągu oznaczonej, pewnej ilości lat dług się amortyzował, i wynajmujący stawałby się właścicielem kawałka ziemi z ogrodem i ładnym domkiem. Odbyło się i kilka posiedzeń i rozpatrzono plany przedstawione filantropijnej spółce przez budowniczego p. Karola Kozłowskiego, czerniły się nawet na białym papierze, nazwiska osób mających złożyć pewną summę na zakup tych placów. Ale to tak było, gdy gadano o tem, lecz gdy projektowdawce chcieli myśl swoją w czyn zamienić—na papierze wprawdzie zostały nazwiska ofiarodawców, ani przyrzeczonej mamony nie znalazło się nawet na lekarstwo, gdyby go zażądał przyszły właściciel will i ogrodów. Że to ze swoimi nie w ład jakoś poszło udano się po kapitały do niemców i francuzów. Kapitały tam były, ale nie dla naszego projektu. Rozstano się więc z tą myślą o tych domkach na raty, lecz, jak nas dobiegają wieści, nie zapomniano o niej.

Ha! zobaczymy jak to będzie—i czy nasi ludzie i nasze pieniądze w grę tu wejdą.

Prędzej może jednak niż owych domków, doczekamy się, projektowanej także od dawna—sali koncertowej. Mamy już spółkę przedsiębiorców, która zamierza wznieść specyalny na ten cel budynek na jednym z placów położonych przy zbiegu ulic Długiej i Nalewek. Sama sala ma, według projektu, mieścić tysiąc osób i okrom parteru posiadać dwa balkony z lożami. Kroki przedwstępne do nabycia rzeczonego placu już są rozpoczęte.

zz

ŻYCIE WE DWOJE.

Życie we dwoje—to małżeństwo. Żaden stosunek pokrewieństwa, przyjaźni, nie wytwarza węzłów silniej łączących ze sobą ludzi, niż związek ten aż do śmierci, przez który wszystko między dwojgiem staje się wspólnem: dola, niedola, zaszczyty czy poniżenia,—wszystko, jednem słowem. Przysięgają sobie u ołtarza, iż się nie opuszczą aż do śmierci, że zatem będą razem żyć i pracować, owoców wspólnej pracy używać. Bardzo też pożyteczną jest książka „Życie we dwoje“, przez H. Gausseron w przekładzie z francuzkiego wydana u nas nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, a obejmująca historyą małżeństw w różnym stosunku tego przejawach. Pierwszy rozdział nosi tytuł: „Dwie połowy to całość“, bo zjednoczenie się kobiety i mężczyzny w pracy życia, przez, które mogą spełniać razem to, co stanowi moralnie i materyalnie węzeł, stanowiący podstawę społeczeństwa. Kwestya tego życia we dwoje zajmowała od wieków umysły ludzi myślących; greccy filozofowie zajmowali się nią, i Sokrates, choć wedle tego, co Starożytni zostawili nam w podaniu, nie był w związku tym szczęśliwy, wysoko stawiał znaczenie jego dla ludzkości.

Energia i siła męzka podnosi ducha kobiety. Mąż powinien posiadać siłę, odwagę, powinien być uzbrojony w pewną surowość, karcącą to, co na skarcenie zasługuje. Kobieta zaś przez ciepło uczuć, przez tkliwość serca, wnosić ma w rodzinę siłę uszczęśliwiającą, która ją sama uszczęśliwia i podnosi. Na tej podstawie sił i przymiotów, rozdzielonych między kobietę i mężczyznę, szczęście obojga mieści się w tem, aby każde z nich stało na stanowisku swojem—aby życie we dwoje było harmonijnym podziałem prac i zarobku płynącego ztąd dla ludzkości.

Nigdy i nigdzie nie lekceważono kobiety jako takiej. Jeden z najstarożytniejszych zabytków wiedzy i mądrości ludzkiej, święte dla Hindów księgi „Weda“, mieści zdanie: „Kobieta jest duszą ludzkości“ i biorąc rzecz z punktu wpływu rodziny na społeczeństwo, jest tak niewątpliwie. Wieśniak nasz mówi: jaka mać, taka nać... to jest takie dziecko, taki człowiek, jaką jest matka, a nietylko w tym zakresie stosunków, w macierzyństwie, działanie kobiety wśród ludzkości ma znaczenie wysokie. Proudhom, myśliciel francuzki, streścił w jednem krótkiem zdaniu jej wpływ jako siły moralnej, pisząc: „Kobieta jest uosobieniem sumienia mężczyzny“, trzeba przecież na to, aby posiadała głębokość uczucia, aby umysł jej nie był płytkim, bo wtedy nie będzie zdolną do tej missyi szlachetnej, nie potrafi spełnić najdostojniejszego obowiązku swego, i w małżeństwach takich spełnia się pewien rozwód moralny. Mąż kocha jeszcze żonę do pewnego stopnia, ale nie jest mu już ona tym przyjacielem, przed którym mógłby się zwierzyć z myśli swych i uczuć, szukając jakiegoś oparcia dla ducha; nie można też nazwać go mężem szczęśliwym, bo nie połowica to jego jest ta, którą ma obok siebie, nie pojmująca go, nie odczuwająca tego, co bije w jego sercu.

I nie może być wtedy między nimi zgodności celów i upodobań. Mąż prawie zawsze pracuje, jeżeli nie na utrzymanie rodziny, to dla zajęcia jakiegoś stanowiska wśród społeczeństwa i żony powinnością najwyższą jest, aby pojmowała to, a filozofia wspólnego pożycia, jak wyraża się Gausseron, powinna polegać na tem, aby była tu wyrozumiałość wzajemna. Żona, która męża od pracy odrywa, aby pomagał jej bawić się, jeżeli spokojne chwile jego odpoczynku obarcza przez to trudami innego rodzaju, niewyrozumiałą jest, więc niedobrą żoną. Wprawdzie należy to do obowiązków męża, aby czynił żonie życie miłem, ale powinnością żony jest przystosować się do położenia, do usposobień tego towarzysza życia, i trzeba jej szukać sobie takiego umilenia, zajęcia czasu, aby nie stawało to wpoprzek obowiązkowi. Często się też zdarza, że rodzina żony, zwłaszcza matka, miesza się tu i jakoby z miłości córki burzy spokój małżeński; jeżeli przecież młoda pani kocha prawdziwie a przynajmniej pojmuje obowiązki swoje, na które przysięgała, interwencyą tę delikatnie, a stanowczo usuwa. Rozumna i posiadająca takt odpowiedni uczyni to spokojnie, łagodnie; trudniej tu przecież idzie z matką mężowską. Młoda pani wnosi w dom męża nawyknienia swe rodzinne, i to jest zwykle kamieniem obrazy w stosunku synowej do świekry. Pisarz francuzki, Horacyusz Raisson, ostrzega, że należy tu młodej pani przystosować się do zwyczajów, do poglądów rodziny, której członkiem się staje.

Niełatwo to przecież zmienić w jednej chwili upodobania, zapatrywanie się na życie; należy niemniej młodej pani mieć tę wolę dobrą, któraby przez wzgląd na szczęście ukochanego człowieka, na szczęście jej własne godzić się kazała z okolicznościami życia, choćby przykremi. Młodość nie zawsze to rozumie, ale od czegóż jest uczucie miłości, od czegóż jest obowiązek? a i własne szczęście swoje ocala się przez to. Angielska moralistka, M-rs Chapone, odzywa się też rozumnie do młodej małżonki z przestrogą, że stosunek jej do przyjaciół i rodziny mężowskiej wpływać będzie stanowczo na szczęście domowe tak jej, jak męża „Z wielkim taktem i rozwagą powinnaś się zachowywać względem rodziców męża — pisze dodając, że byłoby to rzeczą bardzo pożądaną, gdyby pokochać ich mogła, ale i oni powinni podobne uczucie w piersi swej rozbudzić. Miłość góry przenosi i przy wzajemnie życzliwem usposobieniu wszystko bierze koloryt jaśniejszy, milszem, lepszem się zdaje, ale bywa i miłość niedobra, samolubna, pragnąca kochać na własną tylko serca rozkosz, na własne zadowolenie. Taką miłością kochają nierzadko rodzice, taką bywa i miłość małżonków, żony zwłaszcza. Zazdrosna o swoje prawa pragnie męża całkowicie dla samej siebie posiadać i czuje się pokrzywdzoną, skoro widzi, że poza nią jest jeszcze mężowi ktoś drogim. Zapomina, że ten, kto może węzły uczuć miłości rodzinnej, węzły przyjaźni zerwać niewdzięcznie, skoro serce jego zabije pod siłą uczuć nowych, niestałym jest i niewiernym, więc prawdziwie kochać niezdolnym.

Niemiłym rozdźwiękiem brzmi ustęp traktujący o służbie. Złe to świadectwo dla społeczeństwa francuzkiego, bo prawdą jest stare nasze zdanie: jaki pan, taki kram... co przyznaje i autor, pisząc: „Skarżymy się na niechęć, zawiść naszej służby, lecz jakież mamy prawo do jej przychylności? Czy troszczymy się o nią serdecznie? Czy wchodzimy w jej położenie, przemawiamy słowem życzliwem, bierzemy prawdziwy współudział w jej smutku lub radości? A przecież każda istota ludzka potrzebuje tego, aby mógł się zadzierzgnąć między nią a jednym z jej bliźnich, jakiś węzeł uczucia, stający się życzliwością, i kto nie daje służącemu nic więcej nad zapłatę pieniężną, niech nie wymaga nic prócz pracy obowiązkowej“. Służący to ludzie — ludzie z wadami, cnotami ludzkiemi, mniej od nas wykształceni, z mniejszą ilością ideałów życia podniosłych a przecież ileż serc dobrych, ileż serc gorących bije w ich piersiach? Przykładów tego możnaby wyliczyć nie mało, a zapytajmy jeszcze: czy nie jedno złe nie zostaje zaszczepionem tu przez te klassy społeczeństwa wyższe, które znają lepiej i głębiej to, co podnosi, i to co poniża człowieka? Gausseron przytacza ustęp z testamentu francuzkiego szlachcica, de la Huguette, który, zapewniając przyszłość swemu służącemu przez zapis testamentowy, pisze: „Uczciwy sługa jest dozorcą i opiekunem mienia swego pana, uczciwy pan wzorem i przykładem dla służby“ przyczem autor dodaje, że ostatnie to zdanie opiera się na prawdzie najmocniej przez życie stwierdzonej.

Ciernie i kwiaty rosną obok siebie i autor wykazuje w rozdziale tak zatytułowanym, że małżeństwo — życie we dwoje, nie może być jednym ciągiem wrażeń miłych, aby przecież szczęście mogło tu być zapewnionem, potrzeba na to współudziału stron obydwóch: potrzeba zrozumienia wzajemnego ich do siebie stosunku, i choć mówią nieraz, że kto się kocha, ten się kłóci, autor ostrzega, młodych małżonków zwłaszcza, przed temi drobnemi sporami, które przecież rozdrażniają i sprowadzają ów zły humor, w obec którego znika w nas wyrozumiałość, a rzecz każda przybiera dla moralnego naszego wzroku barwę czarną. Niezadowolenie jednego z małżonków udziela się wtedy stronie drugiej i nikt już nie wie zali z lada chmury nie wypadnie piorun ognisty? Wiara w miłość wzajemną słabnie wtedy a rozmaite są tego bolesnego stanu następstwa. Zazdrość nierozsądna, bezpodstawna zazdrość zabija ufność, zabija szacunek, a jak się wyraża Gausseron jest to potwór żywiący się trucizną podejrzeń, i ten, kto się staje zazdrosnym, „kocha nienawidząc a kochając nienawidzi. Zazdrość męża jest też zniewagą dla żony i może tylko stawać się dla niej tryumfem, jeżeli próżną jest i samolubną, niemającą poczucia godności kobiety dostojnej.

A czy mąż zdolnym jest wtedy kochać? Zazdrosny kocha, nienawidząc zarazem, i może to być jedynie miłość bez szacunku, więc uczucie, które poniża obie strony. Żona jest tu zawsze odpowiedzialną, bo powinna tak się postawić w godności swej kobiety uczciwej, aby jak Rzymianka starożytna, nie mogła być bezkarnie dotknięta podejrzeniem.

— Życie ludzkie jak fale oceanu kryją tysiące raf, skał podwodnych! woła autor dodając, że trzeba przedewszystkiem, aby w małżeństwie pa-

nował szacunek wzajemny i obowiązkiem też mężczyzny jest odtrącić od siebie wszelkie lekceważące kobietę zdania, jakich niemało krąży w mowie potocznej. W świętych dla Indyan „Wedach“ mieści się zdanie: „Kto pogardza kobietą, gardzi matką swoją“, a dodać trzeba, że i żoną, a wtedy czem-że by było uczucie miłości? Szacunek, uszanowanie kobiety jest podstawą rodziny, jest treścią jej wpływów małżonki i, jeżeli mąż nie okaże żonie szacunku, jakież znaczenie może mieć matka i jej kierunek wychowawczy? Autor upomina się u męża oznak tego szacunku dla żony, zwłaszcza wobec dzieci, przecież pozory jego są rzeczą mniej więcej podrzędną: trzeba przedewszystkiem, aby istniał on i dowodził się w czynach życia, bo formy konwencyonalnych formułek nie starczą tu jeszcze.

Trzeba, aby się wykazywał w obejściu, aby go znać było w układzie życia rodzin — aby widniał w każdym akcie tego wspólnego ich istnienia, a dodać należy, że zaznacza się on wybitnie i w tem nawet, aby mąż nie zdawał się znudzonym towarzystwem żony, co przecież ma swoją stronę drugą. Kobieta czująca i myśląca poziomo, drobiazgowa, małoduszna z konieczności tracić będzie na tym szacunku w gatunku wyższym, który odbiera tylko dostojna duchem. Zbyt realna, ubiegająca się dla męża i dzieci tylko o dobro materyalne nie zdoła wzbudzić takiego uszanowania, które stałoby niejako na straży codziennych, drobnych na pozór aktów życia.

(Dokończenie nastąpi).

PIERWSZY WYSTĘP

NOWELLA

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

*

* *

Rozgospodarowali się. Dwie rodziny złączyła serdeczna zażyłość. Panie dużo przesiadywały w kuchni, panowie razem na wycieczkach, z wędkami, łowili ryby. Nauczyciel wierzył w rozum i bystrość polityczną pana Celestyna, co było powodem, że pan Celestyn wobec niego nabrał wielkiej wymowy i pewności siebie. Słuchany jak wyrocznia, wszelkie kwestye rozcinał od jednego zamachu. Całą mądrość polityczną, przywiezioną od Kosza, roztaczał przed zdumionym professorem, jak paw przed skromną pawicą ogon roztacza.

Co parę dni przyjaciele wymykali się do Krakowa po nowe wiadomości, nowy pokarm dla ducha.

Stefa z matką pracowały dla przyszłości, skupując na zimę masło, owoce i jagody.

Józio mało udzielał się rodzinie. Siostrę traktował jako dziecko, matkę jako pierwszą niewolnicę wielkiego talentu, ojca—jako uczciwego urzędnika. Rano wychodził ze Słowackim w pola, lub biegł na lekcye do reżysera deklamować, grać, poić się nadziejami sławy i uczyć patrzeć na motłoch z góry i pewną pogardą litości. Wracając przez natłoczoną tłumami linię A—B, patrzał na nie z uśmiechem pobłażania.

— Czemże ty zgrajo jesteś — szeptał—wobec mnie—czem?.. Kupą niewolników, mrowiskiem, nawozem grzejącym mi stopy, abym mógł soki z ciebie ciągnąć, rosnąć i kwitnąć kwiatem, który będzie twoją chwałą, sławą, bogiem, życiem!... Głupi motłoszku, ty nie wiesz kogo masz wśród siebie, kto jest w twym tłumie. Geniusze co lat sto, a wielkie talenta co dwadzieścia przychodzą na świat. Kwiaty te, których barwy i zapach są oznakami, ze tłum, czarna glega, może je wychodować. Czarna glebo, poruszająca się, hoduj mnie ciepłem swych piersi i gorącym oddechem uwielbienia!...

Dumny, poważny, zamknięty w sobie, wstępował do Roszkowskiego na czekoladę. Kollegów traktował protekcyjne. Ci powoli przyzwyczajali się uważać go za coś wyższego od siebie, za silniejszego ducha, za większą mądrość, i mimowoli przytłoczeni narzuconą powagą, korzyli się przed nim. Gdy ich prosił, odprowadzali go, polecenia wypełniali bez szemrania. Wszystko to utrwalało w nim przekonanie i wiarę w swą wyższość, prawo rozkazywania tłumowi i panowania nad nim.

Gdy słońce pochylało się ku zachodowi zaczynało mu serce bić, opanowywał go niepokój. Oczy nabierały blasku, kąciki ust drżały.

Zrywał się, popychany utajoną jakąś siłą. Koledzy odprowadzali go do podgórskiego mostu i żegnali wesołemi okrzykami.

Gdy był sam, przyśpieszał kroku; niecierpliwość i obawa, aby się nie spóźnił, popychały go. Szedł żywo, bez upamiętania. Jeżeli spotkał bryczkę lub wóz, siadał aby prędzej, aby prędzej..,

Przed samą wioską przystawał, oglądał się, skradał, kryjąc się po za wał Wisły. Tymczasem słońce zruwało się za wielkie czarne góry. Szary półświetlany mrok roztaczał się nad ziemią, gęstniał; aż do chwili, gdy na niebie zaczęły ukazywać się gwiazdy. Wtedy-to pomknął w górę rzeki, przybiegł przez wał wprost do olszowego gaju. Zaostrzonym wzrokiem dojrzał zawsze w cieniach białawy odblask koszuli, wyciągał ręce, dziewczynocy na roztwierała ramiona... Pocałunki, szepty—cisza... Brzegiem olszowego gaju przesuwały się dwa cienie i rozdzielały. Jeden z nich niknął na wsi, drugi oddalał się nad brzeg Wisły.

Z wieczerzą czekano na jedynaka. Szanowano jego zamyślenie, gdy raczył mówić, słuchano go z namaszczeniem, przyzwyczajając się do jego władzy i rozkazywania.

Chłopak miał zwykle wilczy apetyt — często milczał, lecz gdy się rozgadał, mówił nerwowo żywo, wesoło i dużo...

Twarze rodziny ożywiały się: matka całowała syna w czoło, ojciec się dziwił: zkąd mu się wziął taki mądry syn. Jedna Stefa nic sobie z brata nie robiła, lecz, ustępując mu, ulegała matce.

Po wieczerzy zmęczony rzucał się na łóżko, przesypiając od jednego zamachu całą noc. Rano zrywał się biegł do kąpieli i wracał rzeźki, wesoły, pewny siebie, dumny. Żartował, śmiał się, baraszkował ze Stefą. Potem zabierał książki pożyczone od reżysera, idąc w las roskoszować się nowemi ideami i swą wielkością, a w niej „Mazepą,“ którego rolą przejmował się coraz silniej i coraz więcej przywiązywał do niej.

*

* *

Z błyskawiczną szybkością mijały dnie wśród pracy, wycieczek do Krakowa i schadzek z młodą, pełną życia wiejską dziewczyną. W połowie Września rodzina wróciła do miasta, buchhalter do biura i starych przyjaciół u Kosza, do polityki i cyfr w magistracie, za któremi cicho tęsknił. W tym samym czasie wrócili aktorzy z wycieczek, wrócił i reżyser, rozpoczęły się przedstawienia w teatrze.

— Gdy się już na dobre rozegramy, trzeba będzie wybrać dzień na debiut — odezwał się po pierwszej odnowionej lekcyi mistrz.

Józio pobladł, wargi mu drżały.

— Trzeba raz przejść przez ogień, to trudna rada. Umiesz tyle, że już więcej w tych warunkach, w pokoju na lekcyi nauczyć się nie jesteś w stanie. Zwlekać, to tylko denerwować się i osłabiać siłę swego talentu. Gdybyś jeszcze dłużej chciał się uczyć, mógłbyś samego siebie manierować, a to niebezpieczne, zapewniam cię. A więc w imię Boże, naprzód!

— Kiedyż?—szepnął Józio.

— Za trzy, najdalej cztery tygodnie, najlepiej w niedzielę. Publiczność niedzielna niewymagająca, w teatrze wesoło. Dla ciebie i na twoję cześć zagram Wojewodę; na scenie znajdziemy się razem: będzie ci raźniej i śmielej; gdy się omylisz, podpowiem i otuchy dodam.

Wzruszony chłopiec pochylił się do ramion reżysera.

— Podziękujesz potem; zróbmy wszystko dla miłości sztuki. Sztuka—mistrzyni, a my jej dzieci i królowie, kwiaty jej ducha, myśli, uczuć, pragnień.—Reżyser z rozkoszą posługiwał się patosem. Lubiał deklamować, bo też i deklamował prześlicznie.

— Przyjdź jutro za kulisy. Wyszukamy w garderobie kostiumy, W pierwszym akcie musisz wyglądać jako paź z czasów Ludwika XIV-go: bufy, kryzy, pończochy; w następnych w uniformie dworskiego kozaka.

Jako paź ufryzujesz czuprynę i przysypiesz ją pudrem, do tego malutkie, czarne, wąsiki, na twarzy kolory, białe żaboty, aksamit, jedwab!... Powinieneś odrazu podbić serca wszystkich pań w lożach. Nie patrz się tak dziko na mnie, nie wytrzeszczaj oczu. Im prędzej gorączkę pierwszego występu przejdziesz, tem lepiej dla ciebie.

— Myślałem, że mam więcej odwagi—szepnął chłopiec

— Otrzaskaj się z tą myślą i bądź zdrów.

Chłopiec, wracając, zataczał się ze wzruszenia, z serdecznego bolu, strachu i światełek nadziei. Wstąpił do Hawełki, wypił kieliszek koniaku, lecz nic mu nie pomogło. Wypił drugi i trzeci... Dopiero po trzecim odwaga i fantazya wracały.

— Za parę tygodni ja już na scenie, jako paź, w kryzach i żabotach, piękny jak adonis, zdobywacz serc. Wszystkie młode i ładne panny w lożach muszą się we mnie zakochać i zakochają...

Wbiegam na scenę przez okno. Koledzy przyjmują mnie gradem oklasków. Matce i Stefie w loży biją serca, kłaniam się i zaczynam:

Po chwili zostaję sam, czuję jak mnie zimne dreszcze przechodzą, lecz nie tracę fantazyi, dwa kroki naprzód i tnę:

„O dziwny świat! ten młody rotmistrz przy maco-
„Tak cudownej, a zimny jak lód się wydaje, [sze
„Gdy ja ledwom ją ujrzał już mi serce taje...“

Za ten monolog powinienem dostać oklaski, obudzić zapał i sympatyę dla siebie. Jeżeli zdobyć publiczność, to odrazu, od jednego zamachu.

Zdobędę, pragnę, muszę! Wiecie wy, mieszczuchy, co to znaczy: muszę!...

W domu rodzinę zastał siedzącą za stołem, rozpromienioną.

— Dobrze, żeś przyszedł—odezwał się do niego ojciec.—Właśnie wracam z uniwersytetu, zapisałem cię na prawo. Rektor podał mi rękę i powiedział, że dużo jest u nas prawników, lecz mało uczonych. Słyszysz—mało, uczonych! Potem pytał się: czy ty nie pójdziesz w ślady ojca i nie wstąpisz do magistratu.

— I tam potrzeba, mówił, zdolnych ludzi. Kiedyś mógłby zostać vice-prezydentem i prowadzić dzielnie cały magistrat... Mało co mi serce nie wyskoczyło z radości. Józiu, ty vice-prezydentem—a ja pod tobą służę! Ha, ha! Dajesz mi admonicye, ha, ha—kary? Ja pod tobą! Nie bój się, bo jeżeli teraz jestem pilny, to wtedy pod tobą będę wzorem!... Nie powiedzą, że korzystam z protekcyi syna...

— Niech go tatuńcio nie psuje, bo mu się może zupełnie przewrócić w głowie—odezwała się poważnie Stefa.

— Ja vice-prezydentowi magistratu mogę głowę przewracać? Dajże pokój i nie pleć głupstw—ofuknął ją ojciec a matka gładziła mu włosy. Usiadł przy niej.

— Ale czegóżeś ty, mój chłopcze, taki dziś blady, zmęczony? — zapytała nagle, patrząc mu w oczy.

— Ze wzruszenia, na wiadomość o świetnej mej karyerze. Być vice-burmistrzem Krakowa i mieć pod sobą takiego urzędnika, jak ojciec!...

— I czterdziestu innych, i sześćdziesięciu radców wodzić za nos—i rządzić się po mieście jak szara gęś. Żydów krótko trzymać, odbierać koncesye na szynki.

— Z żydami wojna! Szynki zamykać, to rozkosz—zawołał wesoło chłopiec.

— Rozkosz—powtórzył buchhalter—mówię ci, rozkosz!... Rektor powiedział, abyś w tych dniach przyszedł do niego złożyć przyrzeczenie i odebrać matrykułę. Gdy go zobaczysz, kłaniaj mu się odemnie: zrobisz mu tem przyjemność. Polubiliśmy się!...

— Dobrze, ojcze, pójdę, pokłonię się. A na vice-prezydentowstwo długo muszę czekać?

— Ze dwadzieścia lat, najmniej ze dwadzieścia lat. Powiem ci pod sekretem, żem cię zapisał na bezpłatnego praktykanta i już od dziś lata służby liczą ci się, słyszysz?...

— Słyszę, ojcze, i dziękuję ci. Dwadzieścia lat przelecą!

— Przelecą—zawołał buhalter—jak mrugnięcie okiem. Wiesz co? Kosz powiedział mi, że to jedyna karyera dla porządnego człowieka, co nie chce być zjadaczem chleba! Na każdem polu można się zasłużyć społeczeństwu. A cóż dopiero życie, zdrowie, moralność siedmdziesięciu tysięcy ludzi trzymać w swych rękach! Powiedz mój chłopcze!

— Prawda, ojcze.

— Matko posyłaj po piwo, dwie butelki! Syn twój dziś wszedł na schody, które go zaprowadzą do doktoratu i na prezydenturę magistratu.

— Co poczciwe ojczysko powie — pomyślał chłopiec,—gdy się dowie, że zostałem aktorem?

Ze strachu i żalu dreszcze go przeszły.

— Sztuka mistrzyni—deklamował w duchu, naśladując reżysera, ona kwiatem ludzkości, wszyscy powinni jej służyć, dla niej żyć...

Frazes ten uspokoił go i zagłuszył budzące się sumienie.

Przy piwie rozweselał, opawiadał anegdotki słyszane od kollegów i plotki zakulisowe. Czuł, że jest ukochanym jedynakiem, że gdy z rodziną rozmawia, robi im łaskę i wielką radość. Zapomniał o swej wielkości: był tylko dzieckiem rozrzucającem dokoła wesołość i upojenia radości.

Wieczorem, gdy się kładł do łóżka, powtarzał:

— Żydów wziąć za łeb i szynki zamykać! ja Hamlet, Król Lear, Otello, Ludwik XIV-ty — ja przyszły filozof, męczennik, despota... Poczciwi ludziska, jakie oni mają pragnienia, a nawet szczyty marzeń! Szynki zamykać! Cel życia wielkiego artysty—szynki zamykać ha, ha!

A jednak będzie lament i płacz, gdy się dowiedzą o mym pierwszym występie. Boję się i żal mi ich. Niech co chce się stanie, szynków zamykać nie będę!

*

* *

Po stanowczej próbie u reżysera i długo trwającej rozprawie o sztuce i wielkości jej przedstawicieli postanowiono w nadchodzącą niedzielę wystąpić z „Mazepą.“ Józio oswoił się już z tą myślą i rad był jaknajprędzej zrzucić z siebie gniotący go ciężar.

Raptownie stanął przed matką.

— Czyż nieprawda, że mi będzie ładnie w stroju pazia Ludwika XIV-go.

— Bo co?—spytała wystraszona kobieta. Stefa niebieskie swe oczy szeroko rozwarła.

— Bo mnie w niedzielę zobaczycie w tym stroju.

— Gdzie? co? jak?

— Na scenie, w roli „Mazepy“, w dramacie Słowackiego—wypowiedział głosem dobitnym i pewnym, w którym przebijała się duma i siła woli. Nie czekając na odpowiedź, wyszedł. Nie chciał być świadkiem łez matki, jej smutku i rozpaczy.

— Biedna niewolnico, smutki i łzy—to jej los i objawy życia. Lecz cóż ja, kwiat pnący się do nieba, mam się zajmować tem, co się dzieje na dole w pracującem mrowisku?... Pierwszy mój występ trzeba ogłosić światu, wezwać kollegów, niech i oni pracują!...

Poszedł do nich.

W godzinę później wrócił do domu buchhalter, spostrzegł żonę szybko ocierającą łzy, a Stefę tulącą się do niej.

— Co się stało?—spytał przerażony.

— Nic, nic—tłómaczyła się kobieta.

— Jakieś nieszczęście ukrywacie przedemną.

— Co za nieszczęście?—odparła Stefa — Józio poszedł na aktora i dlatego mama płacze.

— Józio na aktora?—powtórzył buchhalter wielkim głosem.—Józio, na aktora! oszalałyście.

— A cóż to tak strasznego — rzekła dziewczynina, obrażona na tragizm ojca.

— Mój syn, jedynak, przyszły prezydent magistratu, komedyantem!...

Nie mógł ustać na nogach—siadł.

— Czy ta dziewczyna nie żartuje? — spytał żony.

— Co mam żartować? Był tu przed chwilą i powiedział, że występuje w niedzielę w „Mazepie“ Słowackiego i że musi mu być ładnie w kostiumie pazia Ludwika XIV-go.

— Mój syn komedyantem, mój syn, mój syn—Boże!

Buchhalter wniósł w górę trzęsące się ze wzruszenia ręce i ryknął strasznym, rozdzierającym serca kobiet płaczem.

Żona rzuciła się do niego; Stefa zaczęła szlochać.

— Celesiu, zmiłuj się, bo się cała kamienica zleci. Celesiu, zmiłuj się, nademną, bo mi serce pęknie.

Buchhalter objął żonę w pół, głowę przytulił do jej piersi i łkał cicho, bojąc się, aby cała kamienica nie zleciała.

— Tyle nadziei, tyle radości, tyle pięknych snów rozbił jednem kopnięciem nogi. Zażartował sobie ze starego ojca, zakpił formalnie. Kazał się zapisywać na uniwersytet, a sam poszedł za kulisy na komedyanta—błaznować. Mój syn wziął sobie za rzemiosło małpowanie ludzi, a ja byłem prawie pewny, że będzie prezydentem miasta...

I znowu załkał serdecznie, lecz usta przytulił do piersi żony.

— Przynieś ojcu wody — szepnęła matka do Stefy.

— Mój Celestynku—pocieszała męża—może to tylko wybryk młodości, może się jeszcze cofnie, może się zreflektuje, może...

— Ale plama na całe życie zostanie — odpowiedział buchhalter, popijając wodę wśród cichego łkania.

— Co za plama, zawołała Stefa. Cóż to? czy aktor nie jest człowiekiem?

— Cicho głupia,—przerwał ojciec.—Musisz być z nim w zmowie.

Musiałaś wiedzieć o wszystkiem.

— Dowiedziałam się wtedy co i mama, przed godziną...

I ja-bym wolała, żeby mój brat był prezydentem, aniżeli aktorem, lecz jeżeli będzie wielkim aktorem...

— Milcz, zawołał buchhalter—wielkim błaznem! rozumiesz.

Matka mrugnęła na Stefę, żeby zeszła ojcu z oczu.

Dziewczyna schwyciła kapelusz w rękę, wysuwając się na palcach z pokoju.

— A teraz powiedz mi,—zaczął Celestyn siląc się na spokój,—jakim sposobem syn nasz mógł do tyla zgłupieć i co się to stało?

— Nie mam pojęcia, mój drogi. Wiem, że lubił teatr i że chodził z kollegami na parter. Raz podobno był za kulisami.

— Wciągnęli go! Chłopak przystojny, młody, zdolny, dobry dla nich kąsek. Pójdę i spiorę ich!..

— Celestynku, bój się Boga,—zawołała wystraszona kobieta.

Celestyn się zerwał, wsadził na bakier kapelusz i kij ujęty ręką podniósł w górę, żona objęła go w pół.

— Puszczaj mnie,—zawołał, wyrywając się.

Kobieta rozkrzyżowała ręce.

— Zaklinam cię na dzieci, na twe stanowisko, na nieskazitelne imię, nie rób burd...

— A czego oni mnie okradają z dziecka, z jedynego dziecka?

— Zkąd wiesz? Na kogo będziesz napadał, jeśli sam...

— Jeśli sam, to się go wyrzekam, przeklinam, wypędzam z domu, niech mi się nie pokazuje na oczy—precz...

Żona posadziła go siłą na krześle.

— Zastanów się, mój mężu. Wypędzisz go, to mu już zamkniesz raz na zawsze drogę do powrotu. Mnie się zdaje, że najwłaściwsza byłaby dyplomacya.

Udawajmy obojętnych. Niech robi co chce. Sparzy się i wróci na ławy uniwersytetu.

— A jak się nie sparzy?.. Bestya zdolna!..

— Ja, mój drogi, nie mam na to głowy. Najlepiej zrobisz, gdy się poradzisz twego przyjaciela Kosza.

Zna on świat, ludzi, był w wojsku, — wierzysz mu, ufasz. Zrobisz jak uradzicie?..

— Masz racyą — pójdę do Kosza i zrobię jak uradzimy. Rozumny to człowiek i doświadczony mąż.

Pocałował żonę, przytulił ją do siebie, obtarł chustką oczy i poszedł. Zrozpaczony szedł wolno, tragizm nim szarpał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Najnowsze wydawnictwa muzyczne.

W dzisiejszem sprawozdaniu pomówić pragnę słów parę o naszym ruchu wydawniczym, oraz o nowszych kompozycyach naszych autorów, do czego nie mały uzbierał się materyał. Ruch na tych obu polach jest znaczny i świadczy o wielkiej w tym kierunku żywotności. Wprawdzie liczba autorów, obdarzających nas nowościami, nie jest tak nadzwyczajną, wydawnictwa zaś więcej utylitarne, niż artystyczne mają cele, a jednak z zestawienia tych danych może się utworzyć obraz interesujący, i dla tego przedmiot ten obraliśmy za temat niniejszej pogadanki.

Nie ulega wątpliwości, jak to już przed kilku laty w innem miejscu zaznaczaliśmy, że jak wprzódy malarstwo, tak teraz muzyka nasza zaczyna wytwarzać sobie swój odrębny typ, po którym ją znają już w Europie, i który zdobywa sobie swoją popularność. Widzimy, że wydawcy zagraniczni, nietylko chętniej niż dawniej drukują tutejsze utwory, ale domagają się przeważnie takich, które charakterystyką się wyróżniają. Ponieważ moda dziś bardzo zachęca do gry na cztery ręce, przeto tańce Zakopańskie Paderewskiego, Ukraińskie Zarębskiego, „Danses ruthéniennes“ i Krakowiaki Noskowskiego, coraz bardziej się rozchodzą, i Noskowski naprzykład od Hainauera z Wrocławia, oraz od Angerera z Londynu otrzymuje ciągłe zamówienia, posyłając wydawcom tym oprócz czteroręcznych utworów (jak Suita na temata Kolbergowskie) i dwuręczne krakowiaki, mazurki, i t. d. Tęż samą odrębną charakterystykę zagranica umie dopatrzeć i w kompozycyach, nie noszących tanecznej nazwy, i tym sposobem na rynku europejskim zyskujemy sobie stopniowo coraz poważniejsze uznanie. Najżywszą w tym kierunku działalność rozwijający od lat kilku Noskowski wypuszcza w świat wiele drobiazgów, między któremi, obok słabszych cokolwiek, znajdujemy takie perełki jak Krakowiak Op. 40 (as dur) jak „Espiègle“ lub udatne „Vogue la galère“. Paderewski w ostatnich czasach nie wydał nic prócz wdzięcznego Nokturnu (B dur, forma raczej do preludium zbliżona, jak w jego Legendzie), oraz sześciu pieśni do słów Adama Mickiewicza, nacechowanych poetycznym nastrojem. Na niwie pieśniowej bogaty plon się zieleni, oczywiście, już nie dla zagranicy ale dla nas samych przeznaczony przeważnie. Niemałą popularność zdobyły sobie niektóre pieśni Maszyńskiego, z których dwie mianowicie: „Serce pęka mi z bólu“ i „Zapóźno“ należą do liczby najudatniejszych utworów liryki pieśniowej. Dwaj galicyjscy pieśniarze, Gall i Niewiadomski; piszą ciągle, ostatni szczególniej tworzy poemaciki wdzięczne i wykwintne, jak: „Rezeda“, „Śmieją się złote łany“ i t. d. Żeleński pracuje obecnie z całym zapałem nad operą „Goplana“, która

ma stanowić muzyczną attrakcyą lwowskiej wystawy, od jakiegoś czasu więc nie widać w druku jego pieśni takich jak: „Poleciały pieśni moje albo „Z łąk i „pól“, stanowiących prawdziwą ozdobę literatury. Fortepianiści tylko, i to wybitniejsi, mogą się cieszyć wydanym świeżo u Gebethnera ślicznym jego Gawotem, któremu chrzest estradowy dała niedawno sympatyczna fortepianistka, panna Wąsowska. Mniej popularny dotąd Pankiewicz zaczyna w swych pieśniach i utworach fortepianowych zdobywać sobie formę swobodniejszą i jaśniejszą.

Oprócz tych, znanych już nazwisk godzi się wspomnieć o nowych; ci bowiem mogą wkrótce stanąć obok tamtych w ogólnej plejadzie: niechże więc nie znajdą się tam bez biletu rekomendacyjnego. Bardzo udatne utwory pieśniowe i fortepianowe pisze Roman Statkowski, którego kwartet smyczkowy wykazuje śmielsze i zupełnie usprawiedliwione dążenia. Również młody skrzypek Emil Młynarski wydał kilka opusów cennych, a ostatnia jego „humoreska“ (Op. 4) oraz „Musette“ (Op. 6) z pewnością estradowej niemałej doczekają się wziętości. Wybitną zdolnością kompozytorską odznaczają się nieliczne dotąd ogłoszone drukiem kompozycye fortepianowe Gawrońskiego. Inwencya w nich niezwykła i harmonia udatna bardzo.

Do tryumfów naszej sztuki w obszerniejszym zakresie należą nagrody, osiągnięte na konkursach belgijskich przez Adama Münchheimera (za Mszę, uwertury, i t. d.). Zygmunta Noskowskiego (symfonia), Biernackiego Michała (kilka utworów szerszego stylu) oraz Borkowskiego (Msza) i Bilińskiego (utwór salonowy). Premia, naznaczane przez Towarzystwo Muzyczne, koncerty „Lutni“ dozwoliły ocenić wzorowe układy pieśni ludowych Sołtysa, Borkowskiego, Maszyńskiego.

„Lutnia“ ma największą zasługę w sprawie popularyzowania tych pieśni, jakoż wydane przez firmę Gebethnera najulubieńsze z jej koncertów utwory jak: „Ptaszyka“ Söderberga, strofy o paziu Maszyńskiego, oberki Ślaskiego, krakowiaki Niedzielskiego, cieszą się rozgłosem i odbytem. Ta sama firma, wzbogacająca corocznie literaturę wielką ilością wydawnictw, nie zaległa pola i obecnie; a w rzędzie jej nowości figurują pieśni tak piękne jak: „Cichy wietrzyk“ Jennsen'a, „Serenada“ Tostie'go, prawdziwie „urocza pieśń“ Meyer-Helmunda“, niezapomniane: „Czy pamiętasz?“ Bleichmanna, „Ostatnia Serenada“ de Leva, i t. d. I pokorny wasz sługa w konfessyonale tej firmy złożył kilka własnych grzechów....

Drugim niemałej wartości zbiorkiem, z inicyatywy tejże firmy powstałym, jest „Opera w Salonie“, zawierająca z tłómaczeniem najznakomitsze arcydzieła literatury muzyczno-dramatycznej, tak dawnych znanych autorów, jak i nowszych (Wagnera „Meisterisingery“, Nesslera „Tracz z Säckingen“ Bizeta, Ponchiell'ego).

Pan Michał Arct, księgarz lubelski, posiadający od lat kilku renomowaną firmę w Warszawie, rozwinął działalność pedagogiczną nader energiczną, i to w kierunku najbardziej godnym poparcia i uznania; wspólnie z professorem konserwatoryum, Aleksandrem Różyckim, zajął się losem „maluczkich“, i wydał tak wielką ilość utworów dla nich, że dziś nauczyciele i nauczycielki początków muzyki zupełnie nie będą w kłopocie, co dla swych uczniów wybierać, mając zwłaszcza do pomocy dawniejsze repertoary. I tak: „Młody muzyk“ zawiera szereg łatwych utworów, pomiędzy któremi z wdzięcznością spotykamy nazwiska Noskowskiego i Łusakowskiego, którzy potrafili zniżyć się do tych „Milusińskich“ i ich językiem zrozumiale i uroczo przemówić. W czteroręcznym zbiorku „les Deux amies“ ukazują się co chwila wybornie ułożone piękne kompozycye, mające nadto tę niepospolitą zaletę, że dla obu grających partye są ułatwione, i tym sposobem dziatwa przyzwyczaja się wcześnie do gry zbiorowej, tak we wiolinie, jak i w basie. I zbiór utworów nowszej literatury, pod tytułem: „Musique moderne“ zawiera cenne numera i swoją specyalnością każdego zainteresuje.

Do rzędu nareszcie poważnych wydawców należy bezsprzecznie i „Echo Muzyczne“, które w ciągu piętnastoletniego już swego żywota dało do poznania ogółowi nie mało kompozycyi wybornych, nieraz obdarzonych nadto wybitnem pięknem aktualności. Wszystkie nazwiska kompozytorów naszych i obcych tu spotykamy — żadnego nie braknie, a wszyscy reprezentowani w utworach największym cieszących się rozgłosem. Niepodobna nam wyliczać ich licznego zastępu — w ostatniej dobie, największą sympatyą czytelników tego pisma cieszyły się Noskowskiego transskrypcye Moniuszkowskich pieśni, oraz tegoż wyżej wymieniony „Krakowiak“ Op. 40.

Jak z tego treściwego szkicu widzimy, dobrze się dzieje na muzyczno-literackiej niwie: kłosy pełnieją, i ziarna pożywnego coraz więcej się sypie. Niech-że oracze w pracy nie ustają; a ptacy niebiescy i my śmiertelnicy, z plonu tego coraz bardziej radować się będziemy.

Jan Kleczyński.

Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie piszą, iż w roku bieżącym upływa lat trzydzieści od czasu udzielenia kobietom pozwolenia na zajmowanie posad w urzędach. Obecnie jest tam zajętych 800 kobiet.

— Kobiety dopuszczone do służby drogowej na kolei warszawsko-wiedeńskiej mają prawo, przysługujące im od roku, wnoszenia do kassy składkę emerytalną i jako uczestniczki tejże kassy nabywają prawa do pensyi emerytalnej, zapewniającej przyszłość. Kassa kolei warszawsko-wiedeńskiej liczy kobiet takich kilkaset, a są to wyłącznie żony dróżników i te tylko dopuszczone być mogą do obsługi przejazdów na linii, za co otrzymują od 3 do 4 rs. miesięcznie. Obok tego kobiety spełniają obsługę w pokojach pań podróżujących. Wedle ustaw normalnych dla kas emerytalnych i oszczędnościowo-zapomogowych kolei prywatnych, kobiety dopuszczone są tylko do usług najniższych z płacą bardzo małą i jedyny wyjątek stanowi kasyerka biletów osobowych na stacyi kolei nadwiślańskiej Mława, p. B., pobierająca rocznie 600 rs. Początkowo zastępowała chorego ojca, następnie miejsce jego zajęła. Na kolei rządowej warszawsko-terespolskiej jest kilkanaście kobiet zajętych w biurach zarządu, pobierając niewielkie pensye; należą one przeważnie do rodzin urzędników kolejowych.

— Sprawa przypuszczenia kobiet do cechów rzemieślniczych miasta naszego jest na porządku dziennym. Podniósł ją cech krawiecki, opracowawszy przepisy dla kobiet, które zapragnęły stać się jego członkami. Wytworzyła się delegacya z celem zorganizowania udziału kobiet w przemyśle i rzemiosłach, należą do niej pp. Bojanowska Józefa, Dr Daszyńska Zofia, Grzebolińska Stefania, Dr Jotejko, Korycińska Alexandra, Reinschmitowa Paulina, Olszewska Marya, Powsikowa Bronisława, Sikorska Julia, Siwińska Wanda, Wiesiołowska Marya Bronisława. P. Juszczyk, starszy zgromadzenia krawieckiego, domagał się tego dla kobiet trudniących się krawieczczyzną.

— Trzy kandydatki do zawodu farmaceutycznego stanęły do egzaminu na pomocnice aptekarskie, skończywszy potrzebną tu praktykę. Gałąź to pracy bardzo dobrze przypadającej na dział kobiety.

— Pamięć ś. p. Alexandry hr. Potockiej zostanie wkrótce uczczona przez wniesienie jakoby pomnika dla jej cnót dobroczynności i miłości bliźniego. Członkowie rodziny, oraz osoby złączone uczuciem przyjaźni i szacunku ze zmarłą, postanowili złożyć 50.000 rs. na utworzenie zakładu jej imienia: przytułku mieszczącego chorych nieuleczalnych, oraz zawiązać „Towarzystwo opieki nad chorymi nieuleczalnymi imienia ś. p. Alexandry hr. Potockiej.“ Projekt, złożony Radzie miejskiej dobroczynności publicznej, został uznany i przesłano go do zatwierdzenia władzy. Najpiękniejsze to są pomniki takie, poświęcone czci ludzi cnotliwych.

— Właścicielka posiadłości ziemskiej pod Kaliszem: Mały Dobrzec, zapisała 2.000 rs. na rzecz Kaliskiego domu Schronienia starców i kalek. Ludzie szlachetni pragną czynić dobrze jeszcze po śmierci.

— L. Lasocka z Czernia obdarowała kościół w Goworowie, w powiecie ostrołęckim, obrazem pendzla Buchbindera, przedstawiającym S-go Józefa. Swięty stoi obok warsztatu ciesielskiego, o który opiera rękę. Jezus, pacholę około lat dwunastu, słucha uważnie słów opiekuna, których znaczenie wyraża napis łaciński: „Pracowałem od młodości mojej.“ Powaga i szlachetne wcielenie ideału w tę kompozycyą, jakoby rodzajową, daje potrzebny tu wyraz świętości i wielką jest zasługa pani, która obdarzyła lud pracującą taką apoteozą pracy na chleb powszedni.

— Na wystawę Warsz. Towar. Sztuk Pięknych przybyły prace pań artystek: Emilii Dukszyńskiej „Portret p, Waleryi Marrene“ i „Portret damy;“ Janiny Flaum „Szatynka z wachlarzem“ i Bronisławy Wiesiołowskiej „Portret mężczyzny.“

— Francuzka siostra miłosierdzia, przełożona zakładu sierot w Konstantynopolu, który wzniosła z uczucia miłości bliźniego, umarła tam, zostawiając po sobie żal i uznanie ludzi wszelkich wyznań i narodowości. W czasie wojny krymskiej towarzyszyła ona armii francuzkiej, służąc rannym w szpitalach i na polu bitwy z najzupełniejszem zaparciem się siebie. Nieraz narażała się na wielkie niebezpieczeństwa, zbierając rannych z pola boju niemal że pod kulami dział. Następnie spełniała świętobliwe obowiązki swoje w Algieryi a ostatecznie w Turcyi. Całe dyplomatyczne ciało francuzkie i wiele osób wszelkich narodowości odprowadzało do grobu zwłoki jej, gdzie składano je z honorami wojskowemi.

— W Wiedniu urządzona została w sali Tow. kupieckiego wystawa gobelinów wyrobu p. Henryki Mankiewiczowej, haftowanych i malowanych. Sąd znawców i ogółu przyznaje im wysoką wartość artystyczną.

— Wiedeńskie stowarzyszenie pisarek i sztuk. mistrzyń, zamieszkujących Wiedeń, odbyło doroczne posiedzenie, na którem czeszka, Elżbieta Lewyńska, przemawiała bardzo szlachetnie o wychowaniu dzieci, zwłaszcza córek, wychodząc z tego punktu, że kobieta małżonka i matka ma w stosunku do społeczeństwa wielkie obowiązki i wielkie zadanie, nakazujące jej rozumieć chwilę czasu, w której żyje i której ideały powinna przekazać przyszłości, jako spadek otrzymany niegdyś od przeszłości. Po ukończonej przemowie wręczono jej bukiet kwiatów czeskich, szczególniej na ten cel zebranych i przesłanych do Wiednia, a który ona do ust poniosła i gorąco ucałowała.

— W Szwajcaryi jest 392.000 kobiet zarabiających na życie w obec 882.000 mężczyzn tak też pracujących, zatem przypada na cztery pracujące kobiety, dziewięciu pracujących mężczyzn; dodawszy do tego kobiety pracujące jako sługi, liczba ich będzie razem 411.000, a mężczyzn z dodaniem służących — 883.000. Przecież licząc bezwzględnie kobiet jest sto tysięcy więcej, niż mężczyzn, a to: 1.500.000 kobiet, na 1.400.000 mężczyzn; dla tego też jest między szwajcarkami znaczna liczba kobiet, które muszą utrzymywać się własną pracą i dla uzbierania sobie jakiegoś grosza na starość tłumnie wyjeżdżają z kraju dla zarobku.

— Niemiecka ogólna kassa ubezpieczenia zdrowia nauczycielek i wychowawczyń liczy blizko tysiąc członków, obok tego jest dziewięć podobnych kas miejscowych, liczących coraz to więcej członków. Do kas tych należeć mogą tak wszystkie osoby nauczające w zakresie nauki właściwej, oraz języków, jak i nauczycielki techniczne i ochroniarki. Jest tu tylko podział na dwie klassy według których ustanawia się wysokość wkładów. Osoby należące do klassy pierwszej płacą miesięcznie jedną markę a w razie choroby otrzymują 10 marek zapomogi tygodniowej; składka klas-

sy drugiej jest 50 fenigów miesięcznie, w czasie choroby zapomoga 5 marek.

— Stowarzyszenie niemieckie z celem rozpowszechniania w pierwszym okresie nauki dziecka metody freblowskiej, „Froebel Verein“ przyznało tytuł członków honorowych dwom paniom: Henryce Schrader z Berlina, należącej do związku zachęty wychowania ludowego i Jenny Asch członkowi takiegoż związku w Spirze.

— Miss Ellen Birkelt. córka zamożnej rodziny ziemiańskiej w okolicach Cambridge założyła, stowarzyszenie panien z celem rozpowszechniania dobrych książek do czytania między kobietami niższych klas społecznych. W tym celu stowarzyszenie zakupuje książki takie, a które mieścić się będą w wypożyczalniach książek, założonych we wsiach parafialnych.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż ministeryum dóbr państwa pragnąc zapewnić trwały rozwój fabrykacyi maszyn rolniczych w obrębie państwa, zamierza urządzić doroczny konkurs maszyn i narzędzi rolniczych w Moskwie.

— Projekt reformy banku państwa czytany będzie w początkach przyszłego miesiąca w radzie państwa.

— Komitet wystawy hygienicznej w Petersburgu zakończył wszystkie swoje czynności, poddając obowiązkowo wszelkie wyroby analizie chemicznej.

— W przytułkach dla rekowalescentów wychodzących ze szpitali warszawskich mieściło się w roku zeszłym biednych rekowalescentów, kobiet i mężczyzn 1.244, którzy przebyli w zakładzie dni instytutowych 10.392. Utrzymanie ich kosztowało 5.325 rs., a że dochody tak ze składek, jak z procentów od funduszów stałych tej instytucyi, przedstawiały 6.455 rs., zatem dochody przewyższyły wydatki o 1.129 rs. Suma ta przesłaną została do kassy ogólnego majątku przytułków, który obecnie przedstawia 15.733 rs. Oddział ten warszawskiego Tow. Dobroczynności liczył w roku sprawozdawczym 41 członków protektorów, 86 czynnych i 42 honorowych.

— Gmach biblioteki uniwersytetu warszawskiego już został w budowli swojej zupełnie wykończony i przystąpiono już do przenoszenia tam książek ze starej biblioteki. W celu ułatwienia tej pracy urządzono drewnianą galeryę między dwoma gmachami. W nowym nie zdążono jeszcze wykończyć robót rzeźbiarskich. U szczytu frontonu wznosić się będzie grupa, przedstawiająca „apoteozę nauki,“ a złożona z trzech muz wieńczących naukę, dzieło to jest rzeźbiarza Marczewskiego. W przedsionku głównego wejścia staną postacie Sofoklesa i Dyogenesa. W gmachu tym prócz sprzętów nie ma nic z drzewa, co zabezpiecza go od zniszczenia w razie pożaru.

— Komitet Tow. Zachęty Sztuk pięknych otrzymał od takiegoż Towarzystwa w Pradze, zaproszenie do wzięcia udziału w wystawie tego Towarzystwa, która się odbędzie w wielkich salach gmachu „Rudolfinum.“ Otwarcie wystawy nastąpi w d. 15 kwietnia, a trwać będzie do 15 czerwca. Zeszłoroczna wystawa czeska przedstawiała się niepospolicie: kupiono 148 dzieł sztuki za 36.400 guldenów. Komitet podaje do wiadomości osób interesowanych, że szczegółowe warunki wystawy jak i karty zgłoszeń znajdują się w kancelaryi Towarzystwa i na żądanie wydawane są osobom interesowanym. Punkta wysyłania przedmiotów sztuki są: w Wiedniu Szolz na Predigergasse Nr. 1., w Monachium Seb. Pichlers Erben, w Berlinie W. Marsiller, Lütrawstrosse 102; w Paryżu Trassaint et Ferret, ulica Dragon Nr. 13.

— W taniej „Bibliotece Powszechnej“ wyszły: Witesława Haleka „Wieczorne pieśni“ przekład z czeskiego przez Wład. Piasta dokonany, wydanie nowe, „Matka rodu Dobratyńskich Fran. Grillparzera, przekład St. Starzeńskiego. „Natan mędrzec,“ poemat dramatyczny w przekładzie Stan. Starzeńskiego, Aleksandra Fredry „Śluby panieńskie,“ „Podróże Guliwera do nieznanych krajów, Swift'a. Jest to godne uznania przedsiębierstwo księgarskie, bo czyni przystępne przez taniość swoją czytanie ludzi niezamożnych, zwłaszcza, że dobór jest dobry.

— Dwudziesto pięciolecie literackiej działalności p. Kazimierza Zalewskiego obchodziło grono liczne przedstawicieli i miłośników sztuki dramatycznej w sali kolumnowej hotelu Europejskiego. Pierwszy toast wzniósł Adam Pług, przy wręczeniu jubilatowi wieńca srebrnego, który okalał złote pióro w szklannej pochewce. Na liściach wieńca widniał napis: „Kazimierzewi Zalewskiemu w dzień dwudziesto pięciolecia pracy pisarskiej, d. 7-go marca 1869 — 1894 r.“ Utworów jego pióra posiada literatura nasza dwadzieścia, a między niemi mieści dramat „Rodzina“ skreślony do współki z Kraszewskim. Nadeszło obok tego kilkanaście telegramów z życzeniami od przyjaciół i zarządów scen, na których sztuki jubilata były wystawiane.

— Komitet War. Tow. Sztuk Pięknych otrzymał w tym czasie od czeskiego Tow. Sztuk Pięknych odezwę zapraszającą artystów naszych do wzięcia udziału w pięćdziesiątej piątej wystawie dorocznej tegoż Towarzystwa, mającej odbyć się w komnatach gmachu Rudolfinum z trwaniem do 15 czerwca. Współudział artystów naszych w zeszłorocznej wystawie takiej był bardzo zadawalniający pod względem wszelkiem. Zakupiono na niej ogółem 148 dzieł sztuki za 36.400 zł. reń. Odezwa dodaje że na tegorocznej wystawie będą zakupowane dzieła, przeznaczone do rozlosowania, jak i do galeryi, która ma być pomnożona dziełami artystów żyjących. Warszawski komitet Towarzystwa nadmienia, że ogłoszenie szczegółowych warunków wspomnianej wystawy, jako też karty zgłoszeń są złożone w kancelaryi Towarzystwa i na żądanie wydawane osobom interessowanem.

— Bezpłatna czytelnia rzemieślników i niezamożnych mieszkańców Radomia, ogłasza sprawozdanie z piątego roku istnienia swego. W ubiegłym 1893 r. otwarta było na użytek uczestników 199 razy w ciągu 508 godzin przyjęcia. Odbyło 109 dyżurów dwugodzinnych i 90 jednogodzinnych, uczyniono zadość 7.596 żądaniom, przy czem wydano do czytania 8.494 tomy książek, nie licząc pojedyńczych numerów pism peryodycznych. *Gazeta Kaliska* upomina się w łamach pisma swego o założenie w Kaliszu podobnej instytucyi dodając, iż chodzi tylko o wyjednanie pozwolenia rządowego, gdyż książek dostarczyli by na początek ludzie dobrej woli, pojmujący co znaczy umoralnienie sfer ludowych.

— Łódzkie Tow. Dobroczynności postanowiło wznieść dom przytułku dla starców i kalek na 200 osób, odwołując się do serc zamożniejszych mieszkańców miasta, co odniosło skutek pomyślny. Towarzystwo akcyjne Schieblera ofiarowało 20.000 rs., p. Anna Scheiblerowa złożyła 20.000 rs., p. Karol Scheibler 5.000 rs., p. Edward Herbst 5.000 prezes miejscowego Towarzystwa Dobroczynności, p. Juliusz Heinzel 10.000 rs., p. L. Geyer 5.000 rs. Zebrano więc na początek 85.000 rs. i wnosić można, że budowa przytułku obliczona na 130.000 do 150.000 rs., posiadać będzie fundusz odpowiedni, a nawet spodziewaną jest przewyżka.

— Na Łużycach zmarł człowiek zacny, wytrwale stojący przy obowiązku, ks. Michał Hornik, prałat kapitały Ś-go Piotra w Budyszynie, życzliwy przyjaciel Kraszewskiego. Historya ludów słowiańskich zajmowała go mocno; zamiłowany lingwista, badał języki i narzecza słowiańskie, język nasz znał gruntownie i pisał w nim, jak dowodzi tego praca nadesłana do *Jednodniówki kaliskiej:* „O życiu drobnych ludów.“ Łączyły go też stosunki życzliwe z p. A. Parczewskim, z p. Maryą Ilnicką. Martwe jego zwłoki spoczęły w Budyszynie na cmentarzu Ś-go Mikołaja, ale duch jego unosić się będzie nad rodzinną jego ziemią i tym ludem słowiańskim, który ją zamieszkuje. Wielkie uznanie znalazł on w Czechach i pierwszy poeta tego pobratynczego Łużycanom ludu, Vrchlicki, uczcił go odą, wykazując jego szlachetność ducha.

— Otwarta w Wiedniu międzynarodowa wystawa sztuki zgromadziła obok obrazów artystów miejscowych, wiele dzieł malarzy innych narodowości. Mieszczą się tu obrazy węgierskich artystów, Munkaczego, Benczura, jest nasz Czachórski, Horowitz, Czachórski dekorował oddział niemiecki.

— W Krakowie umarł Józef Łepkowski uczony archeolog i wielce zasłużony nauce w tej jej gałęzi. Stosunki naukowe oraz życzliwości, złączonej z szacunkiem, wiązały go z licznem gronem ludzi, do którego należał Libelt, Adryan Baraniecki; uczniowie jego mieli dlań cześć i przywiązanie jak do ojca, bo umiał oddziaływać na nich szlachetnie, umiał odrywać od rzeczy poziomych i lichych, ukazując cel i ideały życia wyższe. Urodzony w Krakowie w 1826 r. tamże pobierał nauki; w 1866 r. założył gabinet archeologiczny, w 1873 r. został członkiem Akademii Umiejętności, członkiem zagranicznym akademii w Peszcie, oraz w Wiedniu, w Wrocławiu, Królewcu, w Pradze, Wilnie, w Poznaniu, w Noremburgu. Spis dzieł jego i prac naukowych drukowanych w pismach różnych znajduje się w krakowskiej Akademii Umiejętności.

— Piszą ze Lwowa że w Podwołoczyskach dało się czuć w d. 5 b. m., o godzinie w pół do ósmej z rana falowate trzęsienia ziemi, idące w kierunku z północy na południe.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: Tom II, ark. 8-go powieści pod tytułem: **Z biegiem fal**, przez M. Braddon, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: O prawdziwem wykształceniu, przez Wł. M. Kozłowskiego.—**Pogawędka**, przez ?? — Życie we dwoje. — **Pierwszy występ** nowella Sewera (dalszy ciąg).—Najnowsze wydawnictwa muzyczne, przez Jana Kleczyńskiego.—**Kronika działalności kobiecej.** — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-go T. II, **Z biegiem fal**, powieść, przez M. Braddon.—22 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 2 Марта 1894 г.